



HOTEL w WENECJI

Tess Woods

Mroczne tajemnice czają się tuż za progiem...

BUKOWY LAS

*Pierwszego
dnia świąt*



Loretta

Kobieta tonie. Stoi wyprostowana w szklanym zbiorniku, tak wąskim, że niemal dotyka ramionami jego ścian. Jej włosy i suknia są długie, białe, falujące. Bosa stopy ma zanurzone w wodzie, dół cienkiej sukienki wiruje wokół nóg. Loretta słyszała, że to woda z kanału, choć to pewnie tylko plotka. Patrząc jednak na tę kobietę, zaczyna podejrzewać, że może to być prawda.

Na kamiennych płytach przed zbiornikiem znajduje się metalowa tabliczka. Widnieje na niej jedno słowo, wyryte czarną czcionką: *affogando*.

– Co znaczy *affogando*? – zwraca się do matki amerykańska nastolatka stojąca obok Loretty na schodach placu. Wymawia to słowo niepoprawnie.

– Nie mam pojęcia – odpowiada tamta, a z jej ust wydobywa się para.

Loretta odchrząkuje.

– To znaczy „tonę”. Ta kobieta oznajmia nam, że tonie.

– Ach – bąka matka. – Chyba jak my wszyscy.

Nastolatka odwraca się plecami do performerki i do Bazyliki Świętego Marka. Podnosi telefon nad głowę, wydyma napompowane, błyszczące usta i unosi grubo obrysowane brwi. Matka kopiuje jej pozę. Dzióbkwatny

duet otacza szarość: kamienne płyty placu, budynki i arkady, ołowiane chmury nad nimi.

Alberto trąca Lorette w zębra.

– Może też zrobimy sobie zdjęcie? – pyta po włosku.

– A po co?

– Nie wiem. Bo są święta. Czemu nie? – Uśmiecha się.

Loretta ignoruje prośbę, wskazując podbródkiem artystkę.

– Spójrz na nią, trzęsie się z zimna. Ręce jej drżą.

To jedno z najzimniejszych świąt Bożego Narodzenia od lat.

– Poznała cię – mówi Alberto.

Loretta o tym wie. Zawsze ją poznają. Była na okładkach „Vogue’a” i występowała w tylu programach telewizyjnych, że nie sposób ich zliczyć. Ale czy artystka ją kojarzy, czy pamięta? Tego właśnie chce się dowiedzieć.

Gdy o tym myśli, jej palce przesuwają się po krótkim, szorstkim włosku na podbródku. Przeklina w duchu. Choć rano wyskubała pół tuzina takich niesfornych włosków przed powiększającym lustrem na toalecie, już pojawił się nowy, obwieszczając światu swoją obecność i przypominając jej, że nie jest już młoda. Ujmuje go kciukiem i palcem wskazującym, szarpie kilkakrotnie, lecz włos trzyma się uparcie.

Głośny oddech Alberta ją drażni. Nawet tutaj, na zatłoczonym placu, nie potrafi uciec od jego płytkiego, świszczącego oddechu. Gdyby tylko wreszcie rzucił papierosy. Odwraca się do niego: stoi o głowę niższy, w czarnym meloniku skrywającym coraz większą łysinę, z dłońmi wciśniętymi w kieszenie wełnianego płaszcza. Jego twarz wydaje się zmęczona, skóra ziemista, żółtawa.

Podchwytuje jej spojrzenie.

– *Andiamo, cara?*

Ciepło w jego oczach łagodzi rozdrażnienie Loretty.

– Tak, chodźmy. – Bierze go pod ramię.

Artystka nie spuszcza z niej wzroku mimo kręcących się między nimi turystów. Odchodząc, Loretta lekko do niej macha. Wydaje jej się, że kobieta odwzajemnia uśmiech, ale nie ma pewności.

Ulice, które prowadzą do Hotelu Il Cuore, pękają w szwach. Sklepy z pamiątkami pełne są turystów zachwycających się kolorowymi bombkami, a tłumy w kawiarniach wylewają się na zewnątrz pomimo zimna. Zawieszone wysoko nad wąskimi uliczkami świąteczne dekoracje tworzą baldachim nad głowami Loretty i Alberta. Z roku na rok iluminacje stają się coraz bardziej wystawne. Każda ulica wygląda inaczej.

– Ciekawe, kiedy przyjedzie ta dziennikarka kulinarna – odzywa się Loretta, bardziej do siebie niż do Alberta.

– Dziwne, że postanowiła zjawić się akurat w Boże Narodzenie. Na dodatek sama.

– Przyjeżdża do pracy. To chyba oczywiste, że sama.

– Ale to nie w porządku. Powinna spędzić ten czas z rodziną.

– Nie wszystkim to odpowiada.

– Nie każdy ma tyle szczęścia co my. – Alberto klepie ją po dłoni. – Sprawimy, że poczuje się mniej samotna.

– Skąd wiesz, że będzie się tak czuła?

– Przemierza pół świata w Boże Narodzenie w pojedynkę. Na pewno będzie.

Loretta nie odpowiada.

Mija ich para młodych turystów; gdy kobieta napotyka wzrok Loretty, jej twarz rozjaśnia się w osłupiałej

radości. Loretta rzadko wychodzi z hotelu bez okularów przeciwsłonecznych, lecz czasem – w takie dni jak ten – pragnie patrzeć na świat bez przyciemnionych szkieł.

– O mój Boże, kochanie! – piszczy kobieta, minąwszy ich. – Przysięgam, że to była Signora Bianchi!

Alberto i Loretta wymieniają uśmiechy i idą dalej. On nuci *Cichą noc*, a ona słucha.

W hotelu za ladą recepcji stoi Marina, wyraźnie rozgorączkowana.

Loretta szybko do niej podchodzi.

– Mogę jakoś pomóc? – Uśmiecha się do nowych gości, państwa Dawsonów, stojących po drugiej stronie lady.

– Byłoby miło móc liczyć na czyjąkolwiek pomoc. – Pot spływa z krzaczastych, siwych brwi signora Dawsona prosto na bluzę z napisem „Kocham Wenecję”.

Loretta sięga po pilota i reguluje temperaturę w holu. Marina przesadziła z ogrzewaniem.

– Signor Dawson jest niezadowolony ze śpiewu signora Giuseppego podczas przejażdżki gondolą – oznajmia Marina z uśmiechem, który nie sięga oczu.

Loretta z trudem powstrzymuje parsknięcie śmiechem.

– Zapłaciliśmy fortunę za tego śpiewaka i jedyne, co nam z tego przyszło, to migrena mojej żony – mówi signor Dawson, krzyżując ramiona na brzuchu.

– Proszę chwilę poczekać, signor. Z przyjemnością pomogę. – Zdejmuje płaszcz i cicho zwraca się do Mariny po włosku: – Idź, idź. Ja się tym zajmę.

– Jeszcze nie odpoczęłaś po spacerze. Poradzę sobie – odpowiada Marina, okręcając wokół palca jeden ze swoich długich, ciemnych loków; nawyk z dzieciństwa.

– Artystka w zbiorniku już jest. Idź zobaczyć, zanim zamarznie na kość. Ja zajmę się tym idiotą. – Delikatnie popycha Marinę w plecy.

– Dobrze, *grazie, mamma*. – Marina chwyta kurtkę i torebkę, po czym niemal biegiem rusza przez wyłożony dywanem hol ku przeszklonym drzwiom wejściowym.

Loretta sięga pod golf po złoty łańcuszek, który nosi. Zwisa z niego medalion z Madonną tulącą do piersi Dzieciątko. To prezent od nonny z dnia jej pierwszej komunii, gdy miała dziewięć lat.

„Najświętsza Panienka zawsze słucha. Nigdy cię nie zawiedzie, jeśli będziesz o niej pamiętać. Słyszysz mnie, Loretto? Obiecay, że będziesz się modlić”. *Nonna* ścisnęła jej ramiona guzowatymi palcami, aż wnuczka złożyła obietnicę.

Ale nie miała racji. Najświętsza Panienka zawiodła Loretę już wiele razy. Mimo to, z przyzwyczajenia, ścisnęła medalion i modli się w milczeniu. *Ave Maria, piena di grazia...*

– Signora Bianchi? Signora Bianchi! Zamierza nam pani pomóc czy nie? – Twarz signora Dawsona znajduje się zaledwie kilka centymetrów od jej twarzy.

– Tak, oczywiście, signor. Właśnie się zastanawiałam, jak najlepiej rozwiązać problem. Widzi pan, to pierwsza skarga, jaką kiedykolwiek otrzymaliśmy na signora Giuseppego. Jest jednym z najbardziej cenionych śpiewaków w całym San Marco.

– Najlepszym – wtrąca Alberto zza jej pleców.

Loretta rzuca mu ostre spojrzenie.

– Trzeba opróżnić kosz w kuchni.

Alberto śmieje się i znika na zapleczu.

Loretta znów zwraca się do gości, puszczając medalion:

– Przekażę państwa uwagi firmie wynajmującej gondole. Tymczasem, ponieważ rezerwowali państwo przejażdżkę przez nasz hotel, natychmiast zlecę pełny zwrot kosztów. Czy to satysfakcjonujące rozwiązanie?

Signora Dawson – niska, krępa kobieta o krótko przyciętych siwych lokach, w identycznej bluzie z napisem „Kocham Wenecję” – nieznacznie kiwa głową. Nie podnosi wzroku, jej twarz jest zaczerwieniona. Lorettę uderza intensywny błękit cienia na jej powiekach i to, jak grubo został nałożony.

– Tak, tak, to wystarczy – stwierdza *il signore*. – I proszę przekazać tej firmie, że biję tego „jednego z najbardziej cenionych śpiewaków” na głowę, nucąc pod prysznicem.

Loretta szczerze w to wątpi, ale przytakuje.

Gdy starsze małżeństwo odchodzi, Loretta włącza komputer i wyszukuje ich w systemie.

– *Che succede, mamma?* – Rocco wychyla się z kuchni, uśmiechnięty. Uśmiech niemal nigdy nie schodzi mu z twarzy. To jedna z rzeczy, które Loretta najbardziej w nim kocha.

– Właśnie księguję sto siedemdziesiąt euro zwrotu. Śpiew Giuseppego najwyraźniej nie przypadł naszemu gościowi do gustu.

– *L'Americano?*

– A któżby inny? – Loretta otwiera konto Dawsonów.

– Rano przy śniadaniu narzekał, że żona dostaje migreny, bo ściany w jadalni są zbyt różowe.

– Słyszałam – mówi Loretta, przewracając oczami. – Wygląda na to, że wszystko w San Marco przyprawia

tę kobietę o ból głowy. Zanieś im, proszę, małą deskę serów. Na koszt hotelu, z okazji świąt. Może to spowolni lawinę skarg.

– Dobrze. I nie będę nucił w ich pobliżu, bo jeszcze zażądają zwrotu za cały pobyt.

– Tak, lepiej dmuchać na zimne. – Śmieje się.

Niechętnie zatwierdza zwrot na koncie Dawsonów, po czym odpowiada na dwa maile z zapytaniami. Alberto wraca z kuchni i staje za jej plecami. Oddycha głośniej i szybciej niż zwykle – a ją to drażni.

– Posłuchaj siebie – mówi, nie odrywając wzroku od ekranu. – Pal dalej, na zdrowie.

– Źle się czuję.

– Żartowałam.

– Loretto... – sapie, a jego głos jest dziwnie zdławiony.

Odwraca się gwałtownie. Alberto opiera się o ladę, twarz lśni mu od potu.

– Co jest? Co się dzieje?

Łapie powietrze i kręci głową.

Loretta chwyta go za ramię.

– Mów, co się dzieje!

Kolana uginają się pod nim i osuwa się na podłogę, jak marionetka, której ktoś przeciął sznurki.

– Alberto! – krzyczy Loretta. – Alberto!

Pada na kolana i przewraca go na plecy. Jest bezwładny; oczy ma zamknięte. Głośny oddech nagle się urywa. Czy on w ogóle oddycha? Loretta nie potrafi tego stwierdzić.

– Rocco! Pomocy!

Chwyta jego zwiotczałą rękę i próbuje wyczuć puls na nadgarstku. Jest? Trudno powiedzieć.

– Rocco! – woła znowu.

Jej syn zbiega po schodach.

– *Papà!*

– Dzwon po karetkę! – wykrzykuje do niego. – Szybko!

Rocco rzuca się do telefonu i drżącym głosem podaje dyspozytorowi szczegóły.

Czy on nie żyje? Santa Maria, umarł?

– Czy on umarł?! – krzyczy do Rocca.

– Nie wiem, mamó. Nie wiem.

Loretta spogląda w stronę drzwi wejściowych, wypatrując Mariny, jakby mogła ją przywołać samą myślą.

W holu zaczynają gromadzić się goście.

Alberto ani drgnie.

– Zadzwoniliście po karetkę? – pyta ktoś.

– Czy ktoś zna się na pierwszej pomocy? – woła inny głos.

– Reanimacja! – krzyczy Loretta. – Kto umie ją przeprowadzić?

Goście kręcą głowami, mamrocząc przeprosiny.

– Zacznę go reanimować – mówi do Rocca.

– Wiesz jak?

– Nie.

Odchyła głowę Alberta, otwiera jego zwiotczałe usta i przyciska swoje wargi do jego. Czuje smak stęchłego dymu papierosowego. Wdmuchuje w niego powietrze, ile tylko zdoła. I znowu. Ile oddechów powinna wykonać? Robi to jeszcze trzy razy.

– Uciskaj serce – poleca synowi.

Rocco obchodzi ciało ojca i drżącymi dłońmi naciska środek klatki piersiowej.

– Nie wiem, co robić. – Łzy zbierają mu się za szklami okularów.

– Nie przestawaj. Jeszcze kilka razy. – Bierze głęboki wdech i znów pochyla się nad ustami Alberta.

Wspólnymi siłami wykonują kolejne cykle wdechów i uciśnieć. Alberto pozostaje przerażająco nieruchomy.

Lorette szybko zaczyna brakować tchu, kręci jej się w głowie. *Nie przestawaj* – powtarza sobie mimo obezwładniającego zmęczenia. – *Nie przestawaj*.

– Jestem lekarzem.

Gość hotelowy, który zameldował się rano, młody Australijczyk – signor Taylor – góruje nad nią.

– Co się stało?

– Nie wiem. Nie wiem! Powiedział, że źle się czuje, a potem się przewrócił – odpowiada, cofając się, by zrobić mu miejsce.

Signor Taylor klęka obok niej i przykładą ucho do ust Alberta.

– Wezwaliście karetkę?

– Tak.

– Zjadł coś, na co mógłby być uczulony? Alkohol? Narkotyki? – Unosi ramię Alberta i sprawdza puls.

Pytania padają jak z karabinu maszynowego, więc Loretta równie szybko odpowiada:

– Żadnych uczuleń. Do lunchu wypił kieliszek czerwonego wina. Nigdy nie zażywał narkotyków.

– Miał już zawał albo zatrzymanie krążenia?

– Nie.

– A inne schorzenia?

– Nie. – Przełyka ślinę. – Pali.

– To widać. – Lekarz unosi powieki Alberta, jedną po drugiej, i świeci mu latarką z telefonu w oczy. Żrenice są rozszerzone. – Będę kontynuował resuscytację do przyjazdu karetki.

- Jest pan lekarzem? – Musi usłyszeć to jeszcze raz.
- Neurochirurgiem.

Grazie a Dio.

Lekarz natychmiast wykonuje dwa krótkie, zdecydowane oddechy. Loretta obserwuje, jak klatka piersiowa męża unosi się i opada. Potem uciska mostek – mocno, z absolutną pewnością siebie – o wiele więcej razy, niż robił to Rocco, po czym znów wykonuje dwa oddechy i wraca do ucisków. Jest spokojny, metodyczny. Ten cudowny mężczyzna o twarzy anioła dokładnie wie, co robi.

Rocco obejmuje Loretę ramieniem. Kucają razem na podłodze, podczas gdy lekarz głośno liczy do trzydziestu, uciskając klatkę piersiową Alberta przy każdej liczbie.

Loretta wpatruje się w płamę na dywanie obok głowy Alberta.

Boże, błagam, ocal mojego Alberta. Pozwól mi jeszcze raz usłyszeć jego śmiech. Jego śpiew. Obiecuję, że będę dobra, jeśli go oszczędzisz. Przed oczami staje jej uśmiechnięta twarz Alberta w dniu ślubu – dumny, stojący naprzeciw niej przy ołtarzu.

Modli się, aż wzory paisley na dywanie zaczynają wirować, a potem mruga. Podnosi wzrok na szepczący tłum i napotyka spojrzenie signory Taylor – młodej żony lekarza stojącej nieopodal. *Gesù Cristo*, co ona z siebie zrobiła. Co za osobliwa para: mąż wygląda jak model z wybiegu, z rysami jak posąg. Nawet teraz Loretta dostrzega, jak przenikliwie niebieskie są jego oczy.

– Chyba oddycha – mówi lekarz, znów przykładając ucho do ust Alberta. – Tak. Oddycha.

– Będzie żył? – Rocco dotyka ramienia ojca.

– Nie wiem. Jak ma na imię?

– Alberto – odpowiada Rocco.

Lekarz potrząsa nim mocno za ramiona.

– Alberto! Słyszysz mnie? Alberto! Obudź się!

Głowa Alberta bezwładnie opada.

– Nie budzi się – szepcze Loretta do Rocca, gdy lekarz ponownie nim potrząsa.

I wtedy powraca świst. Loretta nigdy nie była tak szczęśliwa, słysząc ten dźwięk.

Kolejne minuty zlewają się w jedno. Ratownicy wpadają do holu, przepychając się przez gapiów. Rozmawiają z lekarzem po angielsku, ten ociera pot z czoła. Góruje nad nimi wzrostem, szerokimi ramionami i głębokim głosem.

– Uratował mu pan życie, *dottore*. Brawo.

Ratowniczka, drobna szatynka, trzepocze rzęsami w jego stronę.

Ratownicy mierzą Albertowi ciśnienie i poziom tlenu. Znowu nim potrząsają.

– Alberto, proszę się obudzić!

Jęczy, lecz nie otwiera oczu; oddycha płytko, nierówno, ze świstem.

– Signora, zabieramy go do szpitala. Na łodzi jest miejsce tylko dla pacjenta – oznajmia ratownik.

– Pójdę pieszo – odpowiada Loretta.

Rocco pomaga jej wstać. Obejmują się mocno. Oboje drżą.

Loretta odwraca się, by podziękować lekarzowi, ale nigdzie go nie ma.

Ratownicy układają Alberta na noszach i kierują się w stronę tylnego wyjścia z hotelu, prowadzącego prosto nad kanał, gdzie czeka już wodna karetka. Loretta

ściska jego bezwładną dłoń. Czy on w ogóle wie, co się dzieje? Czy cierpi?

Nie puszcza jego ręki, dopóki nie musi.

Gdy zabierają Alberta, kilku gości podchodzi, by złożyć jej i Roccowi wyrazy współczucia. Rocco przeprowadza ją przez tłum, osłaniając ramieniem.

Dopiero kiedy gapie zostają za nimi, Loretta dostrzega zakonnicę stojącą samotnie przy wielkiej choince pośrodku holu. Ma na sobie jasnobrązowy habit i czarny welon; przy uchu wymknęło jej się pasmo siwiejących blond włosów. Patrzy prosto na Lorette, z lekko przechyloną głową i nieśmiałym, niemal pytającym uśmiechem.

Przez chwilę Loretta boi się, że nie tylko serce Alberta dziś się zatrzyma. Przyciska dłoń do piersi, w której jej własne bije jak oszalałe, i chwiejnym krokiem podchodzi do zakonnicy, aż dzielą je zaledwie centymetry. Musi się powstrzymać, by nie wyciągnąć ręki i nie dotknąć jej twarzy – upewnić się, że to nie zjawia.

– Flavia? – pyta ochryplym głosem. – To naprawdę ty?

– Od dziesiętek lat nie słyszałam tego imienia. – Flavia uśmiecha się szerzej. – Witaj, Loretto. Jak się masz?

Loretta nie potrafi znaleźć słów. Wszystko wokół niej się rozplywa. Widzi tylko Flavię.

– Chyba wybrałam nienajlepszy moment na przyjazd – mówi Flavia, splatając dłonie. – Przepraszam. To był twój mąż? Mam nadzieję, że dojdzie do siebie.

– Co tu robisz?

Flavia śmieje się krótko. Minęło trzydzieści sześć lat, odkąd Loretta po raz ostatni słyszała ten śmiech, a wciąż działa na nią tak samo.

– Czy to nie oczywiste? – pyta łagodnie. – Przyjechałam tu dla ciebie.

Loretta nie potrafi oderwać wzroku od jej piwnych oczu i pełnych ust. Jej uroda ani trochę nie przygasła z wiekiem.

Podchodzi do nich Rocco.

– *Buon Natale, suora.* – Z szacunkiem kłania się zakonnicy, po czym zwraca się do Loretty: – Chcesz, żebym przyniósł ci coś do szpitala, *mamma?*

Obecność syna przypomina Lorecie, gdzie się znajduje i czyją jest żoną. Nagle uświadamia sobie, że stoi tu bez ruchu, jakby życie Alberta nie wisiało na włosku. Kto wie, czy w ogóle jeszcze oddycha.

– Przynieś moją torebkę – mówi do Rocca. – Potrzebuję telefonu. I spakuj okulary.

Gdy jej syn oddala się truchtem, Loretta unosi brodę i patrzy Flavii prosto w oczy.

– Jeśli przyjechałaś po mnie, to się spóźniłaś. O trzydzieści sześć lat.

Odchodzi od niej.

– Loretto! – woła Flavia.

Loretta staje, lecz się nie odwraca.

– Zatrzymałam się w San Zaccarii, na plebanii. – Głos Flavii niesie się przez hol.

Loretta idzie dalej, ku wyjściu, nie oglądając się za siebie. Na zewnątrz, w lodowatym weneckim powietrzu, wsadza dłoń pod sweter, szukając ukojenia w dotyku medalionu. To prawda, wiele razy czuła się porzucona przez Najświętszą Panienkę, lecz dziś gorąco wierzy, że jej nie zawiedzie. Madonna już okazała łaskę, zsyłając anielskiego lekarza, który uratował życie Albertowi.

Loretta ściska medalion i modli się, by Najświętsza Panienka dopełniła cudu i sprawiła, że jej mąż wróci do zdrowia.

Idzie szybkim krokiem w stronę szpitala. Dopiero gdy zęby zaczynają jej szczekać, uświadamia sobie, że wyszła bez płaszcza i nawet nie poczekała na Rocca z torebką. Mimo to idzie dalej – oddalając się od kobiety, która ją porzuciła, ku mężczyźnie, co do którego ma nadzieję, że nigdy tego nie zrobi.

Sophie

Sophie zastanawia się, czy jej przewodniczka nie trenuje przypadkiem do maratonu. Wyprzedziła ją tak bardzo, że Sophie bez trudu mogłaby ją zgubić w tłumie.

– Przepraszam. Przepraszam – mamrocze co rusz do poirytowanych przechodniów, których niechcący trąca biodrem albo ramieniem, rozpaczliwie próbując dotrzymać jej kroku.

Przewodniczka – chuda jak patyk, ubrana w białe skórzane spodnie i szpilki na niebotycznie wysokich obcasach – która nawet się nie przedstawiła, gdy spotkały się na lotnisku Marco Polo, dociera do schodów i na szczęście zatrzymuje się, żeby wystukać coś na telefonie. Sophie podbiega do niej. To już piąte schody, odkąd wysiadły z vaporetto*. Snując marzenia o pięknych kanałach przecinających miasto, nie pomyślała,

* Tramwaj wodny, podstawowy środek transportu w Wenecji. Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki.

że trzeba je pokonywać pieszo, po mostkach. A mostki oznaczają schody. Cholernie dużo schodów. Zgrzała się mimo lodowatego powietrza, a gumowe kółko w walizce trzyma się na słowo honoru, choć to jego dziewicza wyprawa.

Podobnie jak para jaskraworóżowych botków do kostki – tych, w które kliknęła dosłownie raz na Instagramie w zeszłym miesiącu, przez co zaczęły pojawiać się w jej feedzie osiem razy dziennie, aż w końcu skapitulowała i je kupiła. Teraz obie pięty palą ją żywym ogniem – pęcherze ma gwarantowane jak w banku. W świecie zwierząt nazywa się to agresywną mimikrą: ofiara daje się zwabić wyglądowni drapieżnika, który potem ją zabija. Drapieżnik, botki – jeden pies.

W ciągu ostatnich pięciu minut minęła co najmniej pół tuzina butików z cudownymi butami w witrynach – zapewne o połowę tańszymi niż narzędzia tortur, które ma na nogach. Kto, do diabła, kupuje skórzane buty przed przyjazdem do Włoch?

WYDAWNICTWO BUKOWY LAS



wydawnictwobukowylas



wydawnictwobukowylas



wydawnictwobukowylas



bukowylas.pl

KUP TERAZ



swiatksiazki.pl



**W sercu Wenecji losy czterech kobiet splatają się w sposób,
którego żadna z nich nie mogła przewidzieć. Gdy dawne sekrety
wyjdą na jaw, rozpocznie się niebezpieczna gra**

Mistrzyni włoskiej kuchni, Loretta Bianchi, musi dokonać wyboru
między niepohamowaną namiętnością a mężczyzną,
z którym spędziła całe życie.

Sophie przybyła z Australii po kulinarne receptury.
Wkrótce odkrywa, że miasto może zaoferować jej znacznie
więcej niż tylko sekretne przepisy signory Bianchi.

Prawniczka Elena czuje, że tonie – zupełnie jak jej rodzinne
miasto, do którego wróciła. Nie cofnie się przed niczym,
byle tylko uwolnić się z więzów małżeństwa.

Dla Gayle z Arkansas wymarzone włoskie wakacje
zmieniają się w desperacką walkę o przetrwanie.

**W MIEŚCIE PEŁNYM MASEK I ZŁUDZEŃ NIC NIE JEST TAKIE,
JAKIM SIĘ WYDAJE, A KLUCZEM DO PRZETRWANIA
STANIE SIĘ ZAUFANIE**



bukowylas.pl
Cena: 54,90 zł